Cena 18 fen. = 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Szl., 15-go Stycznia 1896. Nr. 2.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

W kwaterze hetmańskiej zebrali się co znaczniejsi panowie i szczerze winszowali Zamojskiemu szczęśliwego zakończenia wyprawy. Lecz kanclerz, choć cieszył się na równi ze wszystkimi, a może i więcej, miał twarz zafrasowaną; martwił zacnego męża niebezpieczny stan Gabryela; każdą wolną chwilę spędzał przy łożu bohatera, najtroskliwszem otaczał go staraniem, lekarzom obiecał wielkie nagrody, byle tylko młodzieńca utrzymali przy życiu, lecz wszystko wydawało się bezskuteczne, niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Więc głęboki smutek przejmował serce hetmana, a słuchając teraz powinszowań przyjaciół, myślą był przy Hołubku i twarz miał strapioną. Aż jeden z panów się odezwał:

— Jegomość, pan hetman, tak ma frasobliwe oblicze, jakoby nie Maksymilian, ale on dostał się do niewoli.

Zamojski to usłyszawszy, tak zaraz odparł:

— Tak, mości panowie! Trudno się zapierać, przy całej radości, wielki mam smutek; wiadomo waszym miłościom, że Gabryel Hołubek ciężko ranny... a medycy zaś mi bardzo głowami kręcą.

— Szkodaby była wielka tego młodzieńca! — zawołał jeden z obecnych — serce rosło patrzeć na niego podczas ataku husaryi! Rycerz to duszą i ciałem, płonął cały jak pochodnia, a z ócz mu się iskry sypały.

— Naciął też tylu nieprzyjaciół, że inny bodaj przez całe życie tego dokaże — ozwał się drugi z panów, a trzeci zaraz dorzucił:

— I do wygranej się niemało przyczynił... A przed przybyciem naszego miłościwego pana, niemałe położył zasługi.

— To też mówię waszym miłościom — rzekł teraz hetman znowu — i szczerze wyznaję, że gdyby nie pomoc Hołubka, bodajbyśmy tu dziś byli... Wierzcie mi! że chętniebym oddał kilka lat z własnego życia, byle uratować jego młode życie i nie patrzeć na śmierć tego bohatera. —

W tem dano znać hetmanowi, że siostra Hołubka przybyła. Pan Zamojski wyszedł do pani Adamowej natychmiast i przyjął ją z wielką życzliwością i ojcowską dobrocią. Ponieważ zaś Gabryel zwierzył mu tajemnicę rodzinną i wiedział o małżeństwie Ludki, przeto zaprowadził ją najpierw do rotmistrza, który już wstawał.

Nieboga nie spostrzegła nawet zrazu, że Adam ranny; ujrzawszy go teraz pierwszy raz po owem w leśniczówce pożegnaniu, od którego upłynęło kilkanaście miesięcy, a witając, jak go pożegnała, znowu w ciężkim smutku i obawie, rzuciła się jak nieprzytomna w objęcia męża i wybuchła tak gwałtownym, niepohamowanym płaczem, iż zdawało się, że piersi jej rozsadzi. Dopiero w miarę słów i pieszczot Adama, uspokoiła się zwolna, lecz zaraz zaczęła gorączkowo pytać, gdzie Gabryel i jak się miewa.

— Zobaczysz go niebawem, najdroższa moja małżonko — rzekł rotmistrz — ale otrzej łzy i panuj nad sobą... od spokoju czynią medycy zależne jego wyzdrowienie; silne wzruszenie mogłoby mieć bardzo złe skutki... i opóźnić wyzdrowienie Gabryela — dokończył prędko pan Adam, widząc przestrach na twarzy żony.

— A więc wyzdrowieje z pewnością? Niechże dzięki będą Bogu Najwyższemu! Ale już pójdźmy do niego — mówiła Ludka drżąc cała. — Będę spokojna... patrz! już nie płaczę... Chodźmy nareszcie, chodźmy!

Rotmistrz wstrzymywał jeszcze chwilę Ludmiłę, pragnąc, aby się uspokoiła zupełnie; aż gdy łzy obeschły na jej powiekach, poprowadził ją do brata.

Gabryel mając pierś przestrzeloną na wylot i płuca poranione, oddychać mógł tylko z wielką trudnością i to siedząc; dla tego też dzień i noc przepędzał w dużem, polowem krześle. I teraz siedział w niem odziany futrzanym tołubkiem, z nogami opartemi na miękiej poduszce i oczekiwał na siostrę, o której przybyciu powiedział mu sam hetman. Twarz młodego bohatera była tak pogodna, spokojna, uśmiech tak szczery i wesoły, że można było Gabryela wziąść za zupełnie zdrowego, gdyby nie śmiertelna bladość i jakiś dziwny chłód wiejący z jego oblicza.

Gdy Ludka weszła do komnaty, chory wyciągnął do niej obie ręce, wołając przytłumionym głosem:

— Siostrzyczko moja... najmilsza... witaj!

Ludmiła osunęła się na ziemię przy nogach brata i obydwie jego dłonie przycisnęła do ust w milczeniu.

— Pani siostro!... Aj, Ludko... moja słodka siostrzyczko... dajże pokój! — mówił Gabryel, usiłując usunąć ręce.

— Pozwól mi tak... pozwól... — wyszeptała Ludka, nie podnosząc oczu, bo czuła, że w piersiach jej wzbiera znowu ów płacz rozdzierający, że jedno spojrzenie brata a we łzach się chyba rozpłynie i jego zdrowiu zaszkodzi a tego się najbardziej bała.

Z twarzą przyciśniętą do dłoni chorego, klęczała pani Adamowa długą chwilę, drżąc cała i czyniąc nadludzkie wysiłki, aby łkanie potłumić, aby siłą zepchnąć na dno serca łzy, napływające gwałtem do oczu; sama nie pojmowała, dla czego ogarnia ją taka boleść, bo przecież powiedziano jej, że Gabryel żyć będzie. On zaś usiłował także zapanować nad wzruszeniem, aby siostrze nie przysparzać żalu; ale siły jego były wyczerpane i Bóg wie, jakby się to powitanie było skończyło, gdyby nie pan Adam; widząc ciężką walkę obojga i przeczuwając co się dzieje w sercach tego tak niezwykle kochającego się rodzeństwa, zawołał wesoło, siląc się na uśmiech.

— Ludko, Ludko, moja miła żonko! Bo ja będę zazdrościł temu twojemu braciszkowi! Toż ty się jemu więcej cieszysz jak mnie!

Żartobliwe te słowa podziałały jak najlepiej. Ludmiła podniosła głowę i spojrzała na Gabryela, który z uśmiechem patrzał na nią.

— Ale ty żyć będziesz... bracie mój ukochany... — szepnęła prawie bezwiednie.

— A naturalnie! Jakżeby inaczej? Muszę żyć, aby się cieszyć waszem szczęściem — odparł wesoło Gabryel, przyciskając siostrę do serca i całując jej kędziory, rozsypane na czole.

Teraz rotmistrz jakiemś obojętnem słówkiem wmięszał się znowu do rozmowy, która potoczyła się dość swobodnie, prawie wesoło. Adam prawił o świetnem zwycięstwie i jego skutkach, starając się odwrócić uwagę żony od cierpienia brata.

Po pewnym jednak czasie, zaczęła Ludka pytać drugi raz o wszystkie szczegóły nieszczęśliwego wypadku, bo pokrótce już jej raz mąż opowiedział. Rotmistrz opowiadając teraz po raz drugi, wtrącił, że spodziewa się przybycia ojca i siostry, których hetman uwiadomił o jego chorobie, gdyż zrazu zdawało się, że rana jest cięższa, niż nią była w istocie.

— Tu też — dodał w końcu — pragnę wyjawić moją winę rodzicowi i prosić o przebaczenie... Gabryel nam pomoże przebłagać ojca...

Usłyszawszy to Ludmiła, zbladła śmiertelnie, ale nim zdążyła rzec słowo, medyk wszedł do komnaty, prosząc, aby rannego pozostawiono samego, bo potrzebuje spoczynku. Ludka przecież tak prosiła gorąco, aby jej pozwolono zostać, obiecując, że słowa nie wymówi że się nie poruszy, byle tylko mogła patrzeć na chorego, że w końcu już się lekarz nie opierał, zwłaszcza gdy i Gabryel prosił usilnie za siostrę, utrzymując, że właśnie obecność jej przyczyni się do jego polepszenia. Rotmistrz tylko był nie rad temu, widząc jak Ludka bardzo jest znużoną spieszną podróżą i sama potrzebuje spoczynku; lecz i on nareszcie ustąpił, gdy lekarz szepnął mu do ucha:

— Zostawcie ją, to choremu nie zaszkodzi... może nawet dobrze oddziała. A później nie darowałaby tego oddalenia ani sobie, ani wam... bo widzę niezwyczajnie przywiązana jest do brata.

Uradowana pani Adamowa nie odstępowała ani na krok Gabryela, służąc mu z niewypowiedzianą troskliwością i miłością; w nocy także czuwała, siedząc w krześle, ale chory spał spokojnie, a rano obudził się, jakby zdrowszy i silniejszy; gdy zaś jeszcze medyk dał mu orzeźwiające lekarstwo, nawet lekki rumieniec ukazał się na podbladłych policzkach młodzieńca. Widząc to Ludka wierzyła w ocalenie brata i z radosnym uśmiechem mówiła do niego:

— Tyś zdrowszy Gabryelu?! Widać to wyraźnie...

— Tak jest, jakoś rzeźwiejszym się czuję. Ale co mnie dziwi i niepokoi, to, że pan Wisłocki nie przybywa. Czy też jeno nie chory?

— O z pewnością nie! — zawołała Ludka. — Bożena była przed kilku dniami u mnie i mówiła, że ojciec zdrów i wesoły, jak dawno nie pamięta. Ja wyjechałam natychmiast po otrzymaniu listu na całą noc, a wiekowej osobie trudnoby było tak zaraz ruszyć... Mniemam, że jeno ich patrzeć. Od czasu, jak odbiłeś Bożenę Lichtensteinowi, okrutnie cię pan rodzic Adama wdzięcznie wspomina...

— To dzięki Bogu! — szepnął chory. — Kiedy mi taki życzliwy, to może nie wzgardzi moją prośbą...

— Jeno się zbytnio nie troszcz, kochany Gabryelu, by ci zaś nie zaszkodziło... Bóg miłosierny! — mówiła pani Adamowa, niby pocieszając brata, ale sama zbladła i drzenie przebiegło jej członki. Po chwili przecie uspokoiła się i rzekła znowu:

— Mówiła też Bożenka, iż rodzic wspomniał jako radby ci się wypłacić za ocalenie jedynaczki... Ona kochana dusza bardzo się z tego cieszy, bo ma serce dla nas szczere. W ostatnich tygodniach dwa razy u mnie była...

Ludmiła zatrzymała się chwilkę, jakby nad czemś rozmyślała, poczem mówiła dalej:

— Ale co mi bardzo dziwno, to że Bożenka okrutnie się jakoś zmieniła... Wiesz, że ona wyglądała zawsze jakby nie chodziła po ziemi, jeno pływała w powietrzu; ale teraz to już wydaje się, że doprawdy ma skrzydła... Jak była ostatni raz, żegnając mnie, ozwała

się niby wesoło, ale łzy kręciły się jej w oczach.

— Jakaś ty Ludko szczęśliwa — mówiła — że tego, którego kochasz, dał ci Pan Bóg za męża... Ojciec wam przebaczy, a wtedy nie potrzebujesz zazdrościć ani królowej... ale ja ci zazdrościć będę...

— Alboż i z tobą tak nie będzie? — zawołałam na te jej słowa. — Ojciec cię tak kocha, pewno nie sprzeciwi się twemu wyborowi... i będziesz również jak ja szczęśliwa.

— Nie, nie, nigdy! — zakrzykła i łzy zaczęły jej z ócz kapać jak groch.

— Módl się za mnie siostro, jeźli mi szczęścia życzysz, bo ja bardzo... modlitwy potrzebuję...

— Okrutnie mnie to zastanowiło — powiadała pani Adamowa bratu dalej — więc wzięłam ją pytać; ale ona wsiadła prędko do kolasy, nic na moje nalegania nie odpowiadając, jeno mnie uścisnęła serdecznie, westchnęła cicho i pojechała.

— A nie miarkujesz, coby to mogło znaczyć? — wtrącił chory w zamyśleniu.

— Hm! Jabym już miarkowała... jeno, że... Oto gdybym nie wiedziała z pewnością, że w ostatnim czasie Bożena nigdzie nie była i że nikt nie przyjeżdżał do ich domu, jak mi to sama mówiła, tobym głowę moją dała i przysięgła, że się zakochała... i to okrutnie, na śmierć i życie. Ale tak, jak nikogo nie widziała, to w kim żeby?

— Nic, że ci nie wspomniała, że w Wisłocku, od wielu tygodni mają gościa? — spytał Gabryel cichym głosem.

— Nic a nic! Czy ty wiesz, że tam kto jest?

— Wiem. Pan Marek Siekierzyński leczy się w Wisłocku z ran, które mu moi ludzie zadali, gdy wraz z Lichtensteinem napadł zamek.

Ludmiła zerwała się na równe nogi.

— Pan Marek tam jest?! — zawołała. — Boże! tak blisko był Olkusza. Ale teraz wszystko rozumiem, wszystko mi jasne! Te półsłówka dla mnie niezrozumiane, to wahanie się Bożeny, to jakoby zapuszczanie się i pragnienie otwarcia mi serca... Tak! Teraz jestem pewną!... Pana Marka kocha ta nieszczęśliwa!

Po twarzy Hołubka przebiegło lekkie drzenie, ale niebawem promienne światło, jakby nie z tego świata oblało i rozjaśniło rysy chorego, czyniąc je niewypowiedzianie pięknymi.

— Pewna jesteś siostro tego co mówisz? Czy ona istotnie kocha pana Marka? — spytał szeptem.

— Jak najpewniejsza jestem! Wiele mam na to dowodów, które teraz doskonale rozumiem, lecz dawniej nie pojmowałam o kogo chodzi, bo mi na myśl nie przyszło, aby on mógł tu być. Pragnęła mi się też nieboga zwierzyć, ale snać nie chciała mącić mego spokoju... Wiedziała, jak się pana Marka obawiam... a on był tak blisko!... Ale skąd ty, Gabryelu wiesz, że on jest w Wisłocku?

— Już Semen mi powiadał, że go znalazł na pobojowisku ranionego. Potem Adam miał wieści z domu... Pan Wojciech nie może się pono dość nachwalić w listach swego młodego gościa.

— Nic mi nie mówiłeś!...

— Bo i pocóż miałem cię straszyć, kochana siostro! Mianowicie też, gdy byłaś w domu sama! Ale dziś ci powiem, że z rodzicem twego małżonka przyjedzie także pan Siekierzyński.

Ludmiła chwyciła rękę brata, drżąc cała.

— Tu przyjedzie? Po co, po co? Kto go wzywał? — pytała gorączkowo.

— Uspokój się, miła siostro! — rzekł poważnie Gabryel. — Przecie ci tu nic nie zagraża; przy boku moim i męża, pod opieką wielkiego hetmana nie może cię spotkać żadna krzywda...

— Ale Adamowi! Adamowi widzisz! Czy się mścić na nim nie zechce, skoro się dowie, że to mój małżonek?! Przecie mi zapowiedział, że go z pod ziemi wydobędzie... i Bóg wie, co z nim uczyni!...

— Nic mu nie zrobi!... Tak tobie jak i rotmistrzowi, od pana Siekierzyńskiego nic nie grozi. Nie bójże się!... Mnie się widzi, że ten pan Marek nie taki straszny, jak się tobie kochana Ludko wydał... A muszę ci moja słodka siostrzyczko powiedzieć, że mnie dawno sumienie gryzie o niego. Toż



FRYDOLIN, NIEZRÓWNANY KOWAL. (Obacz objaśnienia rycin na str. 32.)

on nic nie wie do tej pory, co się z tobą stało? Wprawdzie za ostro nastawał na ciebie, abyś została jego małżonką; prawda! Ale miał przyobiecaną twoją rękę, taka była wola jego siostry, a twojej opiekunki... Przy tem... kochał cię pono okrutnie. Pomyśl jaka męka dla niego, nie wiedzieć nic o tobie, uważać cię za niewdzięczną, a może... Bóg wie co on tam myśli o tobie niebogo! A przecie siostra jego była twoją opiekunką, przybraną matką, po Bogu wszystko tej zacnej pani zawdzięczasz... w domu pana Marka, za jego pieniądze zostałaś wychowana... Słuszna przeto, abyśmy nie mogąc już dziękować ś. p. pani Gorajskiej, jemu wdzięczność okazali. Często ja myślałem, żeby mu to donieść gdzie jesteś i jako...

— Bój się Boga, bracie! Chciałeś mu donosić gdzie jestem?... A jakby też był przyjechał i mnie porwał... Adama zabił...

Chory uśmiechnął się łagodnie i przerwał wystraszonej siostrze.

— Nie byłby pewnie tego uczynił — rzekł — wszelako nie znając go dobrze i nie wiedząc, jakby sobie był poczynił, musiałem milczeć. Ale jako mówiłem, pragnąłem, aby wiedział, że nie z twardego serca i niewdzięczności opuściłaś dom jego, jeno wplątana w nieszczęsną tajemnicę, nie mogłaś inaczej uczynić. Bóg widzi, jak mnie serce bolało, gdym pomyślał, że za wszystko dobre ś. p. twej opiekunki, niewdzięcznością nakarmiliśmy jej jedynego, ukochanego brata. Bałem się nawet, aby nas zaś Pan Bóg nie pokarał za taką niewdzięczność. Ano dopóki małżonek twój żądał tajemnicy, nie godziło mi się wyjawiać waszego związku, nawet przed tym bratem twojej przybranej matki. Teraz jednak, gdy twoje małżeństwo ma się stać jawnem, powinien i pan Siekierzyński dowiedzieć się o wszystkiem... i to od nas... tak mi nakazuje sumienie i honor.

— Mój najdroższy bracie, już ty zawsze masz słuszność i sprawiedliwość po swej stronie — rzekła Ludka, przyciskając rękę brata do ust. — Mnie się jeno uczyć, a uczyć od ciebie... Ja myślałam tylko o sobie i o Adamie, bo go kocham, więc dla tego pobłądziłam... bo samolubstwo zasłania oczy, że człowiek nic nie widzi, jeno siebie. Teraz jednak uczynię, jak żądasz.

Po tych słowach Ludmiły, długie milczenie zapanowało pomiędzy rodzeństwem; każde pogrążyło się w własne myśli i wspomnienia. Przerwał je dopiero pan Zamojski, który kilka razy dziennie odwiedzał Hołubka. Teraz oświadczył zaraz na wstępie, że pan Wisłocki przybył właśnie z córką i panem Siekierzyńskiem, i że skoro tylko wypocznie nieco u syna, zaraz odwiedzi Gabryela.

— Pan Siekierzyński zaś wypoczywa w moim namiocie — kończył hetman — bo nie widziało mu się narzucać swej obecności, w chwili powitania się rodziny. Nie poszedł nawet wcale do rotmistrza... chociaż znają się jeszcze z Podola. Świetny to i zacny zdaje się kawaler ten pan Siekierzyński! Oświadczył mi też jako już nie chce mieć nic ze Zborowskimi; ale zerwał z nimi jeszcze wtedy, kiedy im się fortuna uśmiechała. Przyjdzie on tu niebawem, czy będziesz z nim mógł mówić, kochany Gabryelu?

Hołubek dał twierdzącą odpowiedź, a hetman rozmawiał z nim dalej z wielką serdecznością, dodając otuchy i nadziei choremu; choć chwilami, gdy Gabryel nań nie patrzał, mroczyło się szlachetne oblicze przezacnego męża.

Ludmiła tymczasem odsunęła się w oddalony kąt izby i zatopiła się w gorącej modlitwie. Nadchodziła ważna chwila w jej życiu, mająca stanowić o dalszem jego szczęściu lub niedoli. Młoda kobieta blada była, serce gwałtownie biło jej w piersi, a lekkie drzenie przebiegało raz po raz ją całą, ale w miarę, jak się modliła, spokój wracał do strwożonego jej serca; bo nie ma w życiu ludzkiem takiego położenia, takiej niedoli, w którychby szczera, a z ufnością i poddaniem zaniesiona do tronu Bożego modlitwa, nie wyjednała człowiekowi pociechy, nie wlała w duszę

pokoju, siły i odwagi. Gdyby ludzie wiedzieli, a raczej częściej myśleli o tem, jakiem dobrodziejstwem jest modlitwa, jakżeby się wszyscy wiele modlili.

Pan Zamojski bawił długo przy Hołubku, a w każdem jego słowie znać było iście ojcowską troskliwość do chorego i serdeczną obawę o niego. Gdy wreszcie hetman wyszedł, Gabryel przymknął oczy i zdawał się odpoczywać znużony, a może też rozmyślał nad czemś, gdyż usta drgały mu czasem nerwowo, ale twarz czyniła się coraz więcej lodowatą. Ludka siedząc z daleka nie spuszczała z niego oczu, modląc się coraz żarliwiej, nietylko o szczęście i spokój dla siebie i męża, ale także o życie i zdrowie dla ukochanego brata.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŚWIĘTA JADWIGA.

KSIĘŻNA POLSKA I SZLĄSKA.

Głód był na Szląsku. Młodziuchna Pani,
Anioł dobroci i cnoty,
Oddała złoto, perły, klejnoty...
Jednak mrą z głodu poddani.

Tam w wojnie z wrogiem Henryk Brodaty,
Tu walczy Księżna łagodna
Z potworem głodu. Skarbiec bogaty
Jest wyczerpany... aż do dna!

I śpichrze puste! Pomoru znaki
Piętnują wybladłe twarze...
Jako z drzew liście spadają ptaki...
Wsie puste... ludne cmentarze...

Noc była głucha... spiż wciąż podzwania
Na smutne: Ave Marya...
A na dźwięk jego Księżna się słania,
Jako od burzy lilia.

Nie przerwie ciszy kur z głodu niemy,
Tylko dzwon coraz żałośniej,
Niby głos ludu, — wciąż żywiej głośniej
Woła: »Giniemy!... giniemy!...«

Nie zginiesz ludu!... jest broń potężna,
Co stanie w twojej obronie:
Modlitwa Świętej!... Oto twa Księżna
Do nieba podniosła dłonie.

I jako Mojżesz rozmawia z Bogiem,
Któż tajnie nocy tej zbada?

. . . .

Ranek zabłysnął. Przed zamku progiem
Lud woła: »Biada nam!... biada!«

Pośrodku tłumu, jak Anioł Boży,
Jadwiga z jałmużną staje.
Czy przez Jej ręce Pan chleby mnoży
I głodnej rzeszy rozdaje?

Mówią dworzanie, podziwem zdjęci:
»Wszak w zamku nie było chleba!«

. . . .

O tajemnico! znali cię święci...
Z nimi wróciłaś do nieba.

Lecz klucz tu został... Są może dłonie
Co skarb miłości otworzą,
Są może dusze, co z wiarą w łonie
Jak cudem chleby rozmnożą?

O tam od góry, biała lilia
Błogosławieństwa tchnie wonią...
I na dziękczynne Ave Marya
Radośnie spiże już dzwonią!...

LUDWIK PASTER.

Dnia 28-go Września 1895 r. zmarł we Francyi jeden z największych uczonych, wielce zasłużony człowiek, Ludwik Paster. Był on synem zwyczajnego garbarza; urodził się w mieście Dole w Grudniu roku 1822-go, przeszedł wszystkie stopnie szkół, otrzymał stopień uczonego i oddał się wyłącznie

badaniom przyrody, zwłaszcza zaś życiu tych drobnych tworów, grzybkami a w nauce »bakteryami« zwanych, których oko ludzkie nie dostrzega, a których pełno jest w powietrzu, na ziemi i w ziemi, na roślinach, zwierzętach i ludziach, w wodzie i w płynach wszelkiego rodzaju.

Wiadomem jest straszne działanie jadu wścieklizny; pies, kot, bydlę, człowiek, którym się do krwi dostaje ten jad, muszą umierać i to w strasznych cierpieniach. Otóż Paster, dzięki pracowitym swoim badaniom, pierwszy doszedł, że ten jad, to nic innego, jak nadzwyczaj drobne żyjątka, które, gdy się dostaną do ciała zwierzęcia, rozmnażają się w niem z niezwykłą szybkością, zatruwają krew i sprowadzają śmierć w cierpieniach. Zbadawszy to, Paster z wielką starannością hodował te zarazki, robił z nimi próby na różnych zwierzętach, aż wreszcie przekonał się, że gdy zostaną zaszczepione człowiekowi, pokąsanemu przez psa wściekłego, zabijają jad psa i tym sposobem chronią człowieka od choroby i śmierci strasznej.



LUDWIK PASTER.

Gdyby Paster nie zrobił innego odkrycia nad powyższe leczenie wścieklizny, jużby zasłużył sobie na wdzięczność ludzką. Ale on, wpadłszy raz na myśl o życiu drobnoustrojów, owych grzybków niewidzialnych, już się ich wszędzie doszukiwał i znalazł wiele.

Dociekł więc, że cholera kurza, to także dzieło podobnych żyjątek, tylko innego rodzaju. Zbadał je też, zaczął sztucznie hodować, rozmnażać w zgęszczonym wywarze mięsnym lub podobnych rzeczach, potem w ptakach, aż doszedł, że gdy je zaszczepić zapadłym na cholerę kurom, to się je ratuje od śmierci.

Z zarazą sybirską, która w środkowej i zachodniej Azyi zabierała dużo bydła, zrobił Paster to samo.

Ale nie dosyć tego. Francyi, która hoduje bardzo dużo jedwabników, zaczął grozić upadek tego przemysłu rolnego, bo w niektóre lata naraz wszystkie liszki jedwabnicze zaczęły zdychać i jedwabiu nie oprzędały. Wówczas to Paster zaczął badać przyczynę tego zjawiska i doszedł, że sprowadzają je drobniutkie żyjątka, zwane »pebryną«. Dostają się one do ciała motyla-samicy, sprawiając jej chorobę; to też i zniesione przez nią jajeczka i wylęgłe z nich liszki są chore, i albo nie wyrastają, mało wydzielają jedwabiu, albo przedwcześnie zdychają. Zbadawszy to, dał Paster sposób pozbycia się tej choroby; kazał jajeczka każdej gąsienicy trzymać osobno, a potem, po wysuszeniu motyla i starciu jego ciała, przez kilkaset razy powiększające szkło obejrzyć, czy owych zarazków niema. Jeżeliby były, jajka kazał niszczyć i tylko od zdrowych samic zostawiać do wylęgu.

Tem więc swojem odkryciem przyczynił się Paster do utrzymania we Francyi hodowli jedwabników, które tam dają dochód tysiącom ludzi. Tak samo uratował nietylko we Francyi, ale i w innych krajach winnice, które niszczył robak, zwany filokserą; dał on sposób ryczałtowego niszczenia tego robaka za pomocą zarazków grzybkowych i tem zapewnił rozwój winnic. Wszystkie powyższe odkrycia i doświadczenia Pastera dobroczynnie wpłynęły na rolnictwo, jeśli nie wszystkich jego gałęzi i nie we wszystkich krajach, to w niektórych.

Ale są odkrycia jego, z których korzystają wszystkie kraje, wszystkie narody oświecone.

Wiadomo, że od właściwej fermentacyi zależy dobroć wina, piwa, miodu, octu i t. p. Dotychczas jednak odbycie tej fermentacyi zawsze było przypadkowem: jeżeli do wyrobu powyższych napojów były użyte odpowiednie naczynia, dobra woda, jeżeli pomieszczenie lub piwnice sprzyjały wyrobowi wina, albo piwa, to bywały one dobremi; jeżeli zaś nie, nikt nic pomódz nie mógł i tylko mawiał: tu się robota nie uda.

A jednak Paster odkrył inne przyczyny udawania się lub nieudawania fermentacyi napojów. Dowiódł on tylko jednego: fermentacya zależy od tych drobniutkich grzybków, które się unoszą w powietrzu lub są w używanych do robót naczyniach; jeżeli drobnoustroje dostaną się do właściwego sobie płynu, to tam się rozmnożą w niezliczoną ilość, a wtedy, choćby człowiek co chciał robił, wywołają taki ferment, jaki ich rozwojowi, ich rozmnożeniu się jest właściwy... Potem zaraz nauczył Paster, jak należy wytwarzać takie drobnoustroje, któreby wywoływały pożądaną dla człowieka fermentacyę w winie, piwie, occie i t. d., nauczył, jak te grzybki zadawać do płynu w drożdżach, jak chronić wyrabiane piwo lub wino od niewłaściwych drobnoustrojów, znajdujących się w powietrzu lub w naczyniach i tem wszystkiem, cóż uczynił? Oto, że dziś uczeni winiarze, piwowarzy i gorzelnicy nie idą na oślep, nie czekają szczęśliwego udania się fermentu, ale działają na pewnika: każda robota im się uda, byle tylko postępowali według rady Pastera.

Taką samą przysługę oddał Paster mleczarstwu. Wiadomo, że nie z każdego domu, nie z każdej piwnicy masło lub mleko bywa dobre i smaczne; nieraz godzinę postoi w naczyniu, a już go do ust wziąć nie można. Są zaś domy, wsie lub kraje, gdzie znów wszelki nabiał prawdziwie przyjemny jest w smaku. Otóż Paster, a potem jego uczniowie, przekonali się, że mleko ma szczególną własność wchłaniania w siebie wszelkich drobniutkich, w powietrzu bujających grzybków i daje im w sobie doskonały grunt do rozmnażania się. I stósownie właśnie do tego, jakiego rodzaju owe drobnoustroje dostaną się do mleka, jak się w niem rozmnożą, przyjmuje ono właściwy im smak. Toż samo jest z masłem i serem.

Nauka, ogłoszona przez Pastera, doprowadziła wreszcie do tego, że w Danii i Holandyi istnieją dziś, pod okiem uczonych prowadzone zakłady, które zajmują się sztuczną hodowlą takich drobnoustrojów, które będąc dodane do mleka, nadają wyrabianym potem masłu i serom pożądany zapach i smak.

Oto więc co dał światu jeden uczony: uchronił ludzi i zwierzęta od strasznych chorób, zabezpieczył winnice i jedwabnictwo od upadku, winiarzom, piwowarom, gorzelnikom i mleczarzom dał sposób wyrabiania tego, co oni chcą, nie na co im pozwoli szczęśliwy traf. Wszystkie te zresztą odkrycia Pastera dały możność uczniowi jego, francuzkiemu uczonemu Ru, wynalezienia sposobu leczenia błonicy u dzieci za pomocą surowicy krwi końskiej. Bo błonica, to także choroba, którą wywołują odpowiednie grzybki.

Takiej więc zasługi człowiek umarł 28-go Września. Nic też dziwnego, że Francuzi kosztem państwa wyprawili mu pogrzeb, a najwyżsi dostojnicy kraju oraz przedstawiciele innych państw w uczczeniu zwłok jego uroczyście wzięli udział.

Jeszcze jedną wielką zasługę ma ten wielki uczony. Pozostał wiernym Kościołowi katolickiemu aż do ostatniego tchnienia. Przyjął jak najpobożniej Sakramenta święte. Mało jest dziś ludzi uczonych, którzy wierzą w Boga i w nieśmiertelność duszy, a mniej jeszcze takich, którzy są prawdziwymi katolikami. Paster jako wielki uczony zasługuje tem więcej na miłe wspomnienie potomności, że wierzył w Boga, wierzył w nieśmiertelność duszy, wierzył w ciał zmartwychpowstanie.

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

Jak powstały klasztory żeńskie.

Chrześciaństwo pobudza ducha i serce człowieka, aby pozbył się troski o dobra ziemskie i doczesne a starał się tylko o zbawienie duszy. Serce kobiet równie jak i mężczyzn poddawało się działaniu ducha chrześciańskiego pod tym względem. Owszem wiele kobiet uważało jeszcze więcej jak mężczyzn za swoje zadanie to, aby się trzymać zdaleka od zgiełku świata, bo też świat niebezpieczniejszy dla kobiet aniżeli dla mężczyzn. Kościół opiekował się w szczegółowy sposób dziewicami i wdowami, a ze starszych wdów wybierał dyakoniski, które udzielały kobietom nauki tajemnic chrześciańskich i które musiały być przy chrzcie kobiet, ponieważ z początku zanurzano we wodę osoby dorosłe i dzieci, którym udzielano chrztu św. Dyakoniski utrzymywały porządek w kościele pomiędzy kobietami i pielęgnowały chore kobiety. Do tych spraw odłączał biskup poważne kobiety, kładąc na nie ręce i modląc się.

Dyakoniski żyły wspólnie i miały przełożoną, którą nazywały prefektką lub arcydyakoniską. To były pierwsze związki religijne kobiet. Wnet i dziewice zaczęły się poświęcać służbie bożej i składały ślub przed całą parafią (później tylko przed biskupem), że nikomu innemu służyć nie będą jak Jezusowi Chrystusowi, boskiemu oblubieńcowi. Biskup udzielił im błogosławieństwa, dał im osobną ciemną suknię, płaszcz, zasłonę poświęconą, później pierścionek jako oblubienicom Chrystusa. Ślub ich uważano za tak ważny, że kto takowego nie zachował, to uważano jakoby samemu Chrystusowi go nie dotrzymał. Wnet takie dziewice połączyły się w religijne związki i prowadziły życie wspólne.

Pierwszą, która założyła żeński klasztor, była św. Synkletyka. Zdaje się, że urodziła się w czasie św. Antoniego w Aleksandryi. Rychło cofnęła się w samotność. Wielce tam chorowała, lecz za przykładem Joba św. okazała wiele cierpliwości. Bohaterskie jej ćwiczenia duchowne podziwiali współcześni i wnet otoczyło ją grono dziewic, którym przewodniczyła do śmierci, która nastąpiła w ośmdziesiątym roku życia.

Kiedy św. Antoni udał się na pustynią, poszła za nim siostra jego i wybudowała naprzeciw jego klasztoru inny klasztór dla dziewic, którym dała schronienie przed niebezpieczeństwami świata i którym dała podobną regułę jaką św. Antoni dał mnichom. Jako klasztory św. Antoniego szerzyły się coraz więcej, podobnie się działo z klasztorami siostry jego.

Św. Pachomiusz też miał siostrę. Kiedy takowa wiele słyszała o świętości i sławie brata swego, przybyła do niego, aby go odwiedzić. Lecz Pachoniusz ustanowił sobie też jako regułę, że nigdy nie będzie rozmawiał ze żadną kobietą, i nie zrobił wyjątku nawet ze siostrą swoją. Kazał jej więc pewiedzieć przez odźwiernego, aby się też Bogu poświęciła. Siostra kazała powiedzieć bratu swemu, że jest do tego gotowa. Brat kazał jej niedaleko swego klasztoru wybudować celę na drugiej stronie Nilu. I do niej przyłączyły się towarzyszki, a liczba ich wynosiła wnet czterysta. Św. Teodor, następca Pachomiusza wybudował w pobliżu swego klasztoru drugi klasztór żeński, w którym wiele dziewic żyło wspólnie. Nikt nie mógł ich odwiedzać bez pozwolenia, oprócz kapłana i dyakona, którzy w kościele klasztornym odprawiali nabożeństwo, lecz tylko w Niedzielę. Kiedy mnisi chcieli odwiedzić jaką krewną w klasztorze, to towarzyszył im jeden z najstarszych zakonników. Mogli się wtedy rozmówić z krewną w obecności przełożonej, lecz nie wolno im było robić jakich podarunków ani takowych przyjmować, ani wspólnie jadać. Zakonnicy, którzy budowali, nie mogli jadać w kla-

sztorze żeńskim, lecz musieli iść do domu jeść. Kiedy umarła taka dziewica, to zaniesiono ciało jej na pewne miejsce, zkąd zakonnicy zabrali takowe i pochowali śpiewając psalmy. Zakonnice nazwano według mowy egipskiej »nony« t. j. dziewice nienaruszone.

W Rzymie założył św. Hieronim pierwszy klasztór żeński. Jedna z jego uczennic św. Melania, założyła w Jerozolimie dom dla 50 dziewic i sama mieszkała pomiędzy niemi 27 lat. Św. Hieronim kazaniami swemi bardzo się przyczynił do tego, iż klasztory żeńskie się rozszerzyły. W Bolonii prosiło go dwadzieścia dziewic Bogu się poświęcających, aby ich pouczył jak mają żyć. Św. Ambroży napisał potem dzieło o dziewictwie i dwa inne pisma: pouczenie i napomnienie do dziewictwa. Szczególnie zaś żyło wiele kobiecych zgromadzeń klasztornych według reguły świętego Bazylego. On sam głównie dla tego cofnął się od świata, ponieważ matka jego Emmelia i siostra Makryna zrobiła z domu ojcowskiego klasztór, którego była przełożoną, żyjąc we wielkiem ubóstwie, ponieważ cały swój znaczny majątek rozdała pomiędzy ubogich. Umierając nic nie miała jak zasłonę, płaszcz, parę starych trzewików, derę włósianą, na której spała i drugą, która jej służyła za poduszkę, pierścień żelazny, w którym się znajdowała odrobina drzewa krzyża św. i mały krzyżyk żelazny. Klasztory Bazylianek bardzo się rozszerzyły; nie było miasta na wschodzie, w którymby nie było takiego klasztoru. Kiedy Turcy stali się panami na wschodzie, zostało wiele klasztorów zniszczonych, a kiedy Kościół wschodni odłączył się od zachodniego, to wiele klasztorów stało się schizmatyckimi.

W naszym czasie niektóre klasztory Bazylianek na wschodzie wracają do Kościoła katolickiego, skutkiem czego cierpią prześladowanie od Moskali i Greków.

WPŁYWY SŁOŃCA NA JESTESTWA ZIEMSKIE.

POGADANKA NAUKOWA.

Dwadzieścia milionów siedmset mil przedziela naszę ziemię od słońca. Kula armatnia z niej wyrzucona, lecąc z hyżością 1,000 stóp na sekundę, potrzebowałyby lat dwunastu do przebieżenia tej odległości.

Objętość tej olbrzymiej bryły, rozlewającej blaski promienne, wynosi 33,700,000 milionów mil sześciennych. W jednej sekundzie światło przebiega 40,000 mil, a tem samem w ciągu ośmiu minut i trzynastu sekund dochodzi od słońca do ziemi. Myśl nasza nie może zdać sobie dokładnej sprawy z tych liczb kolosalnych, a jednak są one tylko maleńkim ułamkiem w porównaniu z przestrzenią nieskończoną, niewymierzoną, zapełnioną niezliczonemi ciałami niebieskiemi. Myśl nasza gubi się w tym bezmiarze, nie może go objąć, i przygnieciona wielkością wszechświata, korzy się przed jego Mistrzem, który powołał do życia i te kolosalne bryły, krążące w przestworze, i te jestestwa tak liczne i rozmaite, jakie zamieszkują ziemię, a prawdopodobnie i inne światy planetarne.

Wiemy, że słońce jest ogniskiem życia dla ziemi, niewyczerpanem źródłem światła, które od milionów wieków zasila światy i tworzy na nich zamieszkałe. Pozbawmy ziemię tego światła a zmieni się w martwą pustynię, osłoniętą cieniami nocy i ciszą grobową.

Wyobraźnia nasza z dreszczem przyjmuje pojęcie takiej klęski, która prawdopodobnie, jeżeli nie jest niemożebną, to przynajmniej wielce od nas oddaloną. W każdym razie zdarzały się już także wypadki w przestrzeni, co nie może nas zbyt zaspakajać.

Wpływy ciepła słonecznego, oddziaływające na powierzchnię ziemi, są oddawna znane. Ciepło to jest ostateczną przyczyną wszelkich ruchów, zachodzących w naszej atmosferze i wodach morskich. Ciepło słoneczne sprowadza parowanie wody z oceanu i rzek, spadającej następnie na ziemię w postaci deszczu i śniegu. Siła huraganów, wyrywająca drzewa z korzeniami, jest niczem innem, tylko siłą słoneczną. Przemiany cieplikowe światła przetwarzają się tu poprostu w ruch cząstek gazowych, składających warstwy naszego powietrza. Ciepło słoneczne wywiera nadto inny jeszcze wpływ na ziemię. Wskutek nierównego rozpraszania się po jej powierzchni tego ciepła, powstają prądy magnetyczne, jak tego dowodzą zboczenia igiełki magnetycznej. Słońce widocznie oddziaływa na naszą planetę, a tem samem i na jej mieszkańców.

Wpływ światła słonecznego na życie jest znanym od dawna. W ciemnościach roślina i zwierzę traci barwę, niszczeje, zamiera w krótszym lub dłuższym upływie czasu. Wszyscy to znamy, lecz nie każdy z nas wie, w jaki sposób działa słońce na świat organiczny, jakie wpływy wywierają na zwierzęta i rośliny promienie słoneczne cieplikowe, świetlne i chemiczne.

Winniśmy te nazwy objaśnić.

Promienie cieplikowe odznaczają się tem głównie, że przesyłają największą ilość cieplika.

Promienie świetlne cechują się, jak sama ich nazwa wskazuje, siłą rozpraszanego blasku.

Promienie zaś chemiczne głównie dokonywają rozkładów ciał.

Owoż wpływy na życie tych rozmaitych promieni słonecznych wypada mi czytelnikowi wyjaśnić.

Przed stu laty może, uczeni udowodnili doświadczeniami, że części zielone roślin wydzielają gaz zapalny, zwany w języku chemicznym tlenem. Po nich inny uczony okazał, że tlen wywięzuje się z roślin, wyłącznie tylko wtedy, gdy ich części zielone wystawione są na działanie światła słonecznego. W ciemności przeciwnie, zamiast tlenu, rośliny wyziewają kwas węglany wielce zabójczy, który poprostu sprowadza uduszenie. Pozostawało jeszcze zbadać, jaką drogą, pod wpływem promieni słonecznych, wytwarza się ten tlen do życia potrzebny. Wykrył to znakomity pewien fizyk, który obok tego zbogacił wiedzę wielu cennemi spostrzeżeniami. Ten to uczony okazał, że części zielone roślin, wystawione na bezpośrednie działanie światła słonecznego, rozkładają na tlen i węgiel kwas węglany, zawarty w powietrzu, następnie węgiel zatrzymują w swej tkance, a tlen, oswobodzony ze związku zwracają powietrzu. W ciemności rośliny zachowują się całkiem inaczej, gdyż pochłania ją z powietrza tlen, a wyziewają kwas węglany, powstający wskutek cząstkowego utlenia nia się węgla roślinnego.

Nie dość na tem. Dzięki doświadczeniom znakomitego uczonego amerykańskiego Drapera, wiadomo nam dziś, że rozkład powyższy kwasu węglanego przez rośliny, dokonywanym zostaje jedynie pod wpływem promieni świetlnych, promienie zaś cieplikowe i chemiczne nie sprowadzają wcale wydzielania się tlenu. Nie należy jednak ztąd wnosić, aby promienie chemiczne nie wywierały żadnego wpływu na żywienie się roślin, gdyż za ich sprawą zachodzą rozkłady w ciałach daleko ważniejsze od wydzielania się tlenu.

Gdy chmury powstrzymują przepływ światła słonecznego, rośliny wyziewają tlen nierówno słabiej, co następuje niemniej w czasie zmierzchu i zaćmienia słońca. W ciągu zaś nocy rośliny zamiast tlenu wyziewają kwas węglany. Wiązka światła składa się, jak wiadomo, z siedmiu promieni kolorowych, otóż te nie z jednakową siłą działają na rozkład kwasu węglanego. Według doświadczeń uczonych, promienie światła fioletowe, błękitne a głównie zielone, najmniejszy przyjmują udział w tym rozkładzie. Pod wpływem promieni zielonych, liście wydzielają zamiast tlenu nowe ilości kwasu węglanego. Fakt ten wyjaśnia nam, dla czego licho rozwijają

się rośliny, krzewiące się pod wielkiemi drzewami, chociażby nawet cień przez



POŁÓW RYB W ZATOCE NEAPOLITAŃSKIEJ. (Obacz objaśnienia rycin na str. 32).

nie rzucany był słaby.

Ciepło słoneczne w oddziaływaniu na rośliny nie może nigdy zastąpić światła. Pomieśćmy roślinę w miejscu ciemnem, dobrze ogrzanem, rozwój jej będzie wielce wątły, zielona jej barwa zniknie, a pokarm czerpać musi to nędzne jestestwo z własnego, że tak po-

wiemy, ciała. Francuski uczony udowodnił doświadczeniami, że zarodek nasionka roślinnego, pozostawiony w ciemności, wydaje listki nie rozkładające wcale kwasu węglanego. Listki te wytwarzać będą ten kwas nieustannie, dopóki materye, zawarte w nasionku, dostarczać im mogą węgla. Jednem słowem, roślina tak zachowuje się w ciemności, jak zwierzę w ciągu swego istnienia.

Kształty i nazwy kwiatów zależą również w pewnej mierze od światła, korona bowiem kwiatowa i jej płatki kształtują się z materyi, wytwarzających się w liściach, pod wpływem promieni słonecznych.

Możnaby orzec, że liść, kwiat i owoc powstają za wpływem światła, które tego rodzaju fabrykę urządziło sobie w powietrzu. Światło jest matką rodzicielką barw i woni, chociaż te wytwarzają się w odmienny sposób. Zabarwienie rośliny, a w szczególności jej liści, powstaje wskutek wyziewania przez nią tlenu, przeciwnie olejki wonne powstają drogą utlenienia się części roślinnych, a to za wpływem światła słonecznego. Ztąd też kwiaty, rozlewające w ciągu dnia rozkoszne wonie, utracają tę własność w ciemności.

Nie potrzeba być przyrodoznawcą, aby dostrzedz, jak potężnie oddziaływa światło słoneczne na zdrowie zwierząt i człowieka. Dość tu nam będzie porównać silne, rosłe, rumiane postacie wieśniaków z wybladłem obliczem mieszczuchów, zwłaszcza też żyjących w wązkich, niezdrowych zaułkach miasta.

Mieszkania ciemne, wilgotne, zimne, wywierają najzgubniejsze wpływy na zdrowie. Brak światła wywołuje skutki niszczące organizacyą najsilniejszego człowieka; wszelako działanie promieni słonecznych na zwierzęta jest całkiem odmienne od ich wpływów na rośliny. Zwierzęta oddychając wziewają tlen, a wyziewają kwas węglany tak wśród dnia jak i w nocy, chociaż w czasie snu wydzielają daleko mniej tego gazu, niż w ciągu dziennego oddychania. Wypływa ztąd, że zwierzęta wyziewając kwas węglany, dostarczają go roślinom, te zaś w zamian wytwarzają tlen i oddają go zwierzętom. Ztąd też pobyt na wsi, wśród lasów wydających woń orzeźwiającą, wśród łąk przyodzianych bogatym kobiercem zieloności, jest wielce korzystnym dla zdrowia. Wszystkie rośliny wyziewają tlen obficie, a czyste powietrze wprowadza tlen ożywczy pierwiastek do płuc naszych.

(Dokończenie nastąpi).

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy zboże, zanim doszło do swego szczytu, pola pokryły się długimi rzędami żeńców wśród zbóż, pokrywających bujnym plonem lekką w tych stronach glebę, widać już było świecące ścierniskiem obszerne spłaziny, kiedy w progu chaty Jędrzejowej ukazała się ponownie wyświeżona i błyszcząca postać żandarma Fritza Fritziga. Było jeszcze bardzo rano. Ignaś samowiedzy całej okropności swego położenia nie miał i mieć nie mógł. Ale ujrzawszy żandarma, schwycił rozpaczliwie Jędrzejową za suknię i kryjąc w jej fałdach swoję twarzyczkę, krzyczał:

— Nie dajcie, babulu, brać mnie temu człowiekowi!

Jędrzejowa podniosła wnuka na rękę, z niemą jakąś rozpaczą przycisnęła go do siebie, jakby w ten uścisk chciała przelać resztki uczucia swej skołatanej duszy, i zaszlochała długo tłumionym płaczem, ale do żandarma nic nie rzekła. Doświadczenie nauczyło ją, że prośby nic nie znaczą, co z góry nakazane, to się spełnić musi. Połykając

więc łzy i tłumiąc westchnienia, poczęła wreszcie zbierać rzeczy Ignasia i układać je w pęczek. Żandarm naglił do pospiechu.

Słońce było już kawał na niebie, kiedy Jędrzejowa z węzełkiem, przewiązanym przez plecy, i trzymając Ignasia za rękę, w towarzystwie żandarma wyszła z swej chaty. Ignaś zanosił się od płaczu, w Jędrzejowej jakby źródło łez wyschło. Pierś jej tylko wzdymała się jakiemś gwałtownem uczuciem, w oczach jej tlał jakiś ogień ponury. Gdy szli przez wieś, wybiegały z chat baby i dzieci, by się z Ignasiem pożegnać, smutny los jego w sercach wszystkich budził serdeczne współczucie. Osobliwie długo i czule żegnała się z nim chrzestna jego Błażejowa, która, jak sama mówiła, na spółkę z Jędrzejową wypiastowała go na swych rękach. Gdy przechodzili drogą, żeńcy stawali i opierając się na kosach, z niemem współczuciem spoglądali na ten obraz niedoli. Sam pan ekonom, który zresztą współczuciem bawić się nie lubił, przystanął na koniu a w oczach jego przebłyskiwał wyraz politowania.

Współczucie żeńców i pana ekonoma nie uratowało Ignasia, los jego stał się nieodwołalnym. Wkrótce praca szła swoim trybem, żeńcy pochylali się w takt, jakby za pociągnięciem sznurka, chrzęst koszonego zboża dawał się słyszeć, całe linie falującego żyta słały się do ziemi, szereg żeńców przesuwał się jakby podług rytmu jakiejś niesłyszanej muzyki z jednego końca pola na drugi. Ignaś z Jędrzejową i żandarmem zniknął za górką, a niedługo począł im schodzić i z myśli. Życie ze swojemi kłopotami i nadziejami zaczęło napowrót wstępować w swe prawa, każdy zwracał myśl ku temu, co go najbliżej obchodziło.

Granica była niezbyt daleko; z jakie półtory milki od Śliwiniec wznosiła się komora, na której miało nastąpić oddanie Ignasia w ręce władz ruskich. Ale droga była piaszczysta, słońce lipcowe poczęło dopiekać, Ignaś począł się skarżyć, że dalej iść nie może. Nie było rady, Jędrzejowa, choć już obarczona węzełkiem z rzeczami, musiała go wziąć na rękę. Pot jej się lał strumieniem z czoła, musiała raz po raz odpoczywać. Żandarm naglił do pospiechu, Jędrzejowa na jego nalegania odpowiadała na pół złośnem na pół pogardliwem milczeniem. Dziwna rzecz! Ona, która dawniej zawrotu głowy dostawała ze strachu na widok zielonego munduru i błyszczącego hełmu, dzisiaj czuła wobec groźnego przedstawiciela prawa jakąś niebywałą zuchwałość.

Miało się już ku południowi, kiedy Jędrzejowa z Ignasiem zbliżyła się do budynków, stanowiących posadę komory paliczyńskiej. Pan naczelnik o mającem w dniu tym nastąpić wydaniu Ignasia, powiadomił dyrektora komory i dał wójtowi gminy jak najściślejsze polecenie, aby sam się udał na komorę, odebrał wydaleńca z rąk władz pruskich i zajął się upewnieniem jego dalszego losu; o czem wszystkiem zdać miał naczelnikowi szczegółowy raport w przeciągu dni czternastu. Bryczka pana wójta stała już w podwórzu, wyprzęgnięte konie chrupały sobie swobodnie założoną im w tyle wasąga koniczynę.

Gdy rozeszła się wiadomość o zbliżaniu się pruskiego żandarma z kobietą i dzieckiem, wszystko co było na komorze, wysypało się naprzeciwko. Widok, jaki im się przedstawił, był rozrzewniający. Staruszka z uznojoną i zapłakaną dzieciną o jasnych włoskach i modrych jak bławatki oczkach na ręku, a obok nich żandarm z przewieszonym przez ramię karabinem.

Rozpoczęły się formalności oddania Ignasia w ręce władz rosyjskich, żandarm wręczył odnoszące się do tego aktu papiery, spisano obszerny protokół. Pan wójt pragnął co najrychlej wracać do domu, w czasie żniw zbyt mu drogą była każda chwila. Ignaś miał z nim pojechać do Kozienic i tymczasowo w jego własnym domu znaleść pomieszczenie. Jędrzejowa za dobroć, okazaną Ignasiowi, stokrotnie ucałowała mu ręce i kolana.

Wyszli wszyscy przed dom, bryczka zajechała. Czas było żegnać się z Igna-

siem. W Jędrzejowej serce zadrgało, konwulsyjnie przycisnęła wnuka do siebie i zaryczała płaczem ogromnym. Ignaś schwycił ją obiema rączkami za szyję i zanosząc się od płaczu, krzyczał rozpaczliwie:

— Nie dajcie mnie brać, babulu, tym ludziom, nie dajcie mnie brać, babulu!

Tymczasem Jędrzejowa nie puszczała Ignasia. Nie pomogły perswazye ni pana dyrektora ni wójta ni innych. Jędrzejowa tem gwałtowniej tylko przyciskała do siebie dziecinę, tem namiętniej okrywała pocałunkami jej oczy i główkę. Czas było skończyć tę rozdzierającą scenę. Kilku niższych urzędników komory przystąpiło, rozerwano Ignasiowi i Jędrzejowej ręce, stary wachmistrz straży pogranicznej wziął dziecinę na rękę i poniósł do bryczki, na której już z batem w ręce gotowy do odjazdu siedział pan wójt. Stary wachmistrz, głęboko wzruszony, podał Ignasia na wóz wójtowi. Ten ręką z lejcami objął wpół Ignasia, posadził na kolanie i drugiem kolanem przycisnął mu nogi. Malec, ujęty jakby w kleszcze, ruszyć się nie mógł. Jędrzejowa nie myślała stawiać oporu. Z odjęciem dziecka jakoby jej siła oporna została złamana. Ręce opuściła, osłupiałym, błędnym wzrokiem wpatrywała się w to, co się naokół niej działo, z oczu jej wyczytać było można, że jest nieprzytomna.

Wtem bryczka ruszyła. Ignaś wykręcił się gwałtem na swojem siedzeniu i wyciągając rączki do Jędrzejowej, zawołał rozpaczliwym głosem:

— Nie dajcie mnie brać tym ludziom, babulu, nie dajcie mnie brać tym ludziom!

Na ten krzyk przejmujący Jędrzejowa jakby oprzytomniała: wyprostowała się, oczy jej zagorzały dziwnym jakimś blaskiem i nagle, roztrącając obecnych, poskoczyła za bryczką. Wójt podciął konie i wnet bryczka z Ignasiem zniknęła w kłębach kurzu. Jędrzejowa gnała za bryczką, wszyscy byli jakby w osłupieniu, nikomu na myśl nie przyszło ją zatrzymywać. Jeden tylko żandarm Fritz Fritzig zachował przytomność umysłu. Dognał ją kilka kroków za magazynem towarowym i chwycił za ramię. Jędrzejowa się zatrzymała, obróciła i błędnem okiem spojrzała na żandarma.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Frydolin, niezrównany kowal. Frydolin to postać stworzona w podaniach ludów w pierwszych wiekach po Chrystusie. Narody kochały wtedy baśnie o olbrzymach, o nadzwyczajnych ludziach, pochodzących od bogów i t. d. Postacie to zatem świata pogańskiego. Do tych należy Frydolin. Była to istota, którą czczono jako półboga. Był synem olbrzyma morskiego Wade, który znowu był synem Wilkinusa i żony jego, panny morskiej Wachildy. Ojciec oddał syna w naukę do sławnego kowala Uimisa, ztamtąd poszedł Frydolin do karłów, którzy zrobili z niego najsłynniejszego naówczas kowala. Błąkał się następnie w rozmaitych okolicach. Był u króla Nidunga, którego kowala Amiliasa zwyciężył w zapasach. Rozmaite narody uwieczniają baśń o Frydolinie w wierszach i prozie.

Połów ryb w zatoce neapolitańskiej. Miasto Neapol położone jest nad zatoką neapolitańską, którą przedstawia nasza rycina w chwili, gdy roi się na niej od rybaków, zarzucających sieci na ryby. Dla czego to jednak taką zatokę obierają sobie malarze za podstawę do obrazu? Dla tego właśnie, że tak zatoka jak i całe otoczenie przedstawia cudny krajobraz dla oka ludzkiego. Niema może na świecie miasta piękniej położonego nad Neapol. Neapol zbudowany jest częścią u podnóży, częścią na pochyłościach gór, spadających łagodnie do morza. Jest największem miastem włoskiem, liczy bowiem przeszło pół miliona mieszkańców, czego dotąd Rzym nie posiada. Corocznie tysiące mieszkańców podąża do Neapolu, ażeby ukoić rozmaite dolegliwości cielesne pod ciepłem, włoskiem niebem i napawać się widokami, jakich w naszych stronach nawet w przybliżeniu nie ma.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Trawienie.

Przy wyżywieniu człowieka jest najważniejszą rzeczą, aby pokarmy przemieniały się jak najszybciej w krew, aby krew jak najszybciej się odnawiała. Te pokarmy są dobre i zdrowe, które szybko uzupełniają krew, która się zużyła przez pracę i życie.

Nie dosyć więc zbadać, z czego się pokarmy składają i wiele warta każda część, lecz trzeba też badać pokarmy, czy szybko i łatwo przemieniają się w krew. Pokarm, który zawiera mało części, jakich potrzebuje krew, lecz w którym ta mała cząstka pożyteczna dla krwi, zamienia się szybko i łatwo w krew, jest lepszy, aniżeli pokarm, zawierający wiele pożytecznych części, które jednak wolno i trudno w krew się zamieniają. Przykład najlepiej sprawę wytłumaczy.

Udowodniono, że łuski zboża, czysta ospa, zawierają w sobie bardzo wiele białka roślinnego i tłuszczu, więcej aniżeli mąka pszenna. Dobrze jest ospę nie dawać bydłu, lecz razem z mąką spożywać. Uczeni dowodzą, że taki pokarm byłby dla ludzkości wielkiem błogosławieństwem. Chociaż badanie uczonych jest prawdziwe, to jednak z tego nie wynika, aby pokarm przez nich polecany był zdrowym. Żołądek ludzki nie ma tyle czasu i cierpliwości jak uczony. Chociaż jest prawda, że ospa zawiera wiele części, których krew potrzebować może, to nam to jednak nic nie pomoże, bo żołądek i narzędzia trawienia nie są tak urządzone, aby przemieniać ospę w krew szybko i łatwo. Kiedy ospa niestrawiona wychodzi z człowieka, co się nawet przy najsilniejszym żołądku dzieje, to lepiej paść nią świnie, które ją dobrze strawią i dostarczają nam za to mięsa i słoniny.

Pamiętać nam o tem należy, że z dwóch równych pokarmów najlepszym i najkorzystniejszym jest ten, który się strawi najłatwiej i najszybciej, to znaczy, który się najłatwiej i najszybciej zamienia w krew.

Wreszcie trzeba zważać jeszcze na trzecią regułę, że bardzo ważną rzeczą jest wybierać liczne potrawy. Doświadczono, że szkodzi jadać ciągle jednakie potrawy, że trzeba zmieniać pokarm, bo to jest pożytecznem dla zdrowia i wyżywienia.

W końcu i na to zważać należy, że wielkie znaczenie ma to, jak potrawy smakują, do wyżywienia należy, aby potrawy były smacznie sporządzone. — Pilny robotnik żywi swoją żonę; lecz dobra gospodyni, która się stara o smaczny zdrowy pokarm, też świadczy ze swej strony mężowi wielką przysługę, i przyczynia się więcej do tego, aby mąż mógł dzielnie pracować, jak tenże myśli.

W jaki sposób ryby odbywają wędrówki.

To samo prawo żelazne, które ludzi i ptastwo popycha do wędrówek, panuje w morzach i rzekach, zmuszając pewne gatunki ryb do zmiany miejsca. Wielkiemi gromadami opuszczają morze i po szlaku wód lądowych dostają się aż do źródeł rzeki. Od morza Północnego do potoków alpejskich, wzniesionych na 2 do 3000 stóp nad poziom morski, śledzić możemy to niespokojne płynienie i podrzucanie się w górę strumieni.

Co skłania ryby do tej uciążliwej wędrówki? Dla czego z takim uporem niezłomnym dążą do kresu podróży? Dla łososi, foreli i większej części wędrowców wodnych bodźcem do tego jest zachowanie gatunku, troska o zbyt licznego potomstwa. Dla składania bowiem ikry potrzebują rączo płynących, kamienistych strumieni, krajów górzystych. Gdy już są blizko źródeł, składają ikrę pomiędzy grudki grubego żwiru i powracają do morza, gdzie niebawem podąża powstała z iskry młoda generacya.

Odwrotnie postępują węgorze, które z rzek wędrują do morza dla składania iskry. Podróż tę odbywają tylko samice, ktore po złożeniu ikry odumierają. Kiedy młode węgorze doszły 5 do 15 cm. długości, gromadzą się w ogromne stada, długie nieraz na kilka tysięcy metrów i dążą do rzeki. We dnie chowają się w szlamie i żwirze i wyruszają dopiero za nadejściem nocy, osłaniającej je od napaści wrogów żarłocznych. Cały ten drobiazg rozgałęzia się po wszystkich odnogach rzeki, aż do najdalszych strumyków i jezior i powraca do morza dopiero po należytem utuczeniu. Dla tego przepisy wzbraniają połowu w górę płynących węgorzy. Powrót do morza odbywają tak gromadnie, że rybacy we Francyi łapią je czerpakiem lub w sita.

Upór z jakim ryby płyną do kresu podróży i przeszkody jakie przezwyciężają, są rzeczywiście zdumiewające. Łosoś płynąc w górę, przezwycięża kilkunastumetrowe wodospady, jednym susem wyrzuca się na kilka metrów i z niesłychaną siłą opiera najbardziej bystrym nurtom. Mała forela dostaje się do rzek, których spadki 20 metrów przechodzą. Węgorz wreszcie przezwycięża nawet wodospad Renu, prześlizgując się w górę po okalających go skałach.

Ponieważ wiele ryb ginie przy tych rozpaczliwych podskokach, w niektórych krajach urządzają sztuczne schody i przejścia, ułatwiające

rybom przezwyciężenie stromego spadku rzeki. Schody takie i kanały rozpowszechnione są w Norwegii, Anglii i Ameryce północnej.

W wielu okolicach sama przyroda buduje takie schody; częstokroć woda stacza się ze skał stopniami i naporem swoim tworzy w odstępach pomiędzy niemi mniej więcej głębokie wyżłobienia, czyli tak zwane kolki, napełnione wodą stósunkowo spokojną. Wędrująca ryba wskakuje po stopniach i od czasu do czasu wypoczywa w owych kolkach. Na tej samej zasadzie opiera się budowa schodów sztucznych, mających, jak zwykłe schody, ułatwić rybie dostanie się w górę rzeki. Schody ciągną się koło grobli rzeki i składają z szeregu sadzawek, w których ścianie zwróconej do biegu rzeki, znajduje się otwór, przez który ryba może się prześlizgnąć. Ponieważ woda w takiej sadzawce jest dość spokojna, ryba może w niej wypocząć i nabrać sił do przerzucenia się do drugiej luki. Luki zwykle nie idą prosto jedna za drugą, lecz wężykowato. Prostszemi jeszcze są kanały dla ryb, czyli długie rynny, łagodzące siły spadającej wody. Jeżeli spadek rzeki jest wysoki, rynnie nadaje się łagodną pochyłość i dla złamania siły nurtu, przebija na jej bokach poprzeczne deszczułki. Przegródki można urządzić także w samym środku rynny. Ryba wpływa w rynnę i gzygzakiem z jednej przegródki przez drugą dostaje się na sam szczyt wodospadu. Największa taka rynna znajduje się w Norwegii przy wodospadzie Rukan, mającym 27 metrów. Rynna nie dochodzi długości 300 metrów, ryba jednak zrobić musi w labiryncie jej do 800 metrów, nim dostanie się na wierzch wodospadu.

Mniej jeszcze potrzeba dla węgorzów; dość trochę wilgotnej, chropowatej ścieżki, by po nierównościach jej przewinęły się w górę. Rynny dla węgorzów powinny być przykryte, aby zabezpieczyć je od zwierząt żarłocznych.

Ryby nie są tak głupie jak się zdaje. Obawiano się, że nie trafią na schody lub do rynny; obawy te okazały się próżne. Przykład zwykle dają odważniejsze, a za niemi całe stado puszcza się nowym szlakiem.

Praktyczne rady.

— **Żeby się pozbyć otyłości.** Kto bardziej niż inni uczuwa ciężar swego ciała, pewnym być może, że nie pozbędzie się tego brzemienia w ciągu kilku tygodni lub miesięcy. Musi zdobyć się na pewną ofiarę i do końca życia stósować do wskazówek dodanych przez naukę. Ofiara ta nie jest bynajmniej nad siły i nie wymaga ani kuracyi głodowej ani wyrzeczenia się przyjemności stołu. Należy tylko zachować umiarkowanie, dać za wygraną temu co rzeczywiście szkodzi. Mylnem jest mniemanie, jakoby tłuszcz wyrabiał tłuszcz i sprzyjał tyciu; owszem tłuszcz prędzej nasyca, zmniejsza uczucie pragnienia i ułatwia wielce stósowanie się do zmiennej dyety. Natomiast wystrzegać należy się cukru, słodyczy wszelkiej, a ilość chleba ograniczyć do 80 lub 100 gramów dziennie. Z jarzyn pozwolić sobie można szparagów, szpinaku, kapusty i w ogóle ogrodowizn wyrabiających białko. Kto lubi tłuste mięso, może je spożywać bez obawy, a nawet dawać mu pierwszeństwo przed chudem; 60 do 100 gramów tłuszczu baraniego, wieprzowego, rosół mający w sobie dużo szpiku z kości nigdy nie zaszkodzą. Leczący się w ten sposób prędko przywyknie do spożywania mniejszej ilości potraw, utraci uczucie suchości w podniebieniu i jeżeli dyetę tę połączy z odpowiednim ruchem na powietrzu, może być pewnym że tyć przestanie. Radzimy tę dyetę dla tego, że nie wymaga ofiar, których ludzie w ogóle się boją.

— **Tak zwane kurcze w wodzie**, których ofiarą pada dużo osób, nawet dobrze pływających, nie są kurczami, gdyż zwłoki topielców żadnych znamion kurczowych nie mają. Szybkie znikanie władzy w rękach pochodzi ztąd, że piana wody dostaje się do gardła, a ztąd wdycha ją się lub jak się zwykle mówi dostaje się do fałszywego gardła, co natychmiastowe ustanie wszelkich aparatów oddechowych powoduje. Dostaje się woda do gardła po wypuszczenia tchu, gdy w płucach żadnego powietrza niema, to pływający tonie natychmiast. Dostaje się woda do gardła przy wdychaniu to przedłużają się kurcze. Więc skoro spostrzegamy, że ktoś w wodzie niezwyczajne ruchy robi, temu musimy natychmiast pomoc nieść, gdyż nie może on pod wyżej opisanymi warunkami o pomoc wołać.

Rozmaitości.

* **Ochronne szczepienie cholery.** Dr. Haffkiné, który z polecenia zakładu Pastera udał się przed trzema laty do Indyi dla wypróbawania na szerszą skalę szczepienia ochronnego przeciw cholerze ogłosił teraz rezultaty swych badań. Były one dla szczepienia nader pomyślne, w okolicach gdzie ta straszna choroba szalała w całej sile. W więzieniu pewnem zauważono stopniowe zmniejszanie się wrażliwości szczepionych i stwierdzono 2 razy mniej zmarłych i 2 i pół raza mniej przypadków zasłabnięcia u szczepionych, niż u tych, które się nie poddały szczepieniu. W plantacyach herbaty, gdzie przedsięwzięto szczepienie na dwa miesiące przed wybuchem zarazy, liczba ofiar między nieszczepionymi była cztery do pięciu razy większa. W okolicach siedlisk zarazy, a mianowicie w okolicach błot Kalkuty, po zaszczczepieniu było 19 razy mniej zasłabnięć, a 19 razy mniej przypadków śmierci. Stosunek ten utrzymywał się przez 459 dni po zaszczepieniu. W okolicach Lucknow, gdzie robiono próby ze słabą wakcyną i małemi dozami, działalność jej nawet w obec sil-

nej epidemia trwała przez 14 do 15 miesięcy.

Te rezultaty pozwalają spodziewać się, że przy powiększeniu dawek tego środka da się osiągnąć środek pewny i przez czas dłuższy ochraniający organizm człowieka przed cholerą — tą prawdziwą plagą ludzkości. Sam jednak dr. Haffkiné sądzi, że dopiero wtedy będzie można spodziewać się, że powyższa metoda jest w całem słowa znaczeniu zbawienną, gdy cały szereg ści słych i licznych spostrzeżeń potwierdzi jej skutki.

* **Jakie dobra posiadają wielcy panowie?** Z wyjątkiem jednej posiadłości w Szkocyi Wyższej, wielkie posiadłości w Niemczech przewyższają znacznie rozległością swoją posiadłości angielskie, które przecież weszły w przysłowie. Dobra księcia Arenberg (mieszkającego w Brukseli) obejmują 302,830 hektarów (morga liczy 4 hektary) a powstały głównie z dóbr kościelnych zabranych; dobra ks. Talleyranda (mieszkającego w Paryżu) stanowią olbrzymi obszar wynoszący przeszło 200,000 hektarów, z których 180,000 na Szląsku, reszta we Francyi. W Austro-Węgrzech są jeszcze więksi właściciele ziemscy: ks. Schwarzenberg posiada 600,000 do 660,000 hektarów; ks. Lichtenstein 520 tysięcy; ks. Esterhazy między 410,000 a 440,000 i t. d. Z temi potężnemi właścicielami ziemskiemi można z pomiędzy anglików porównać tylko ks. Sutherland, którego posiadłości (w Wyższej Szkocyi) są podobno nawet większe od dóbr ks. Szwarzenberga.

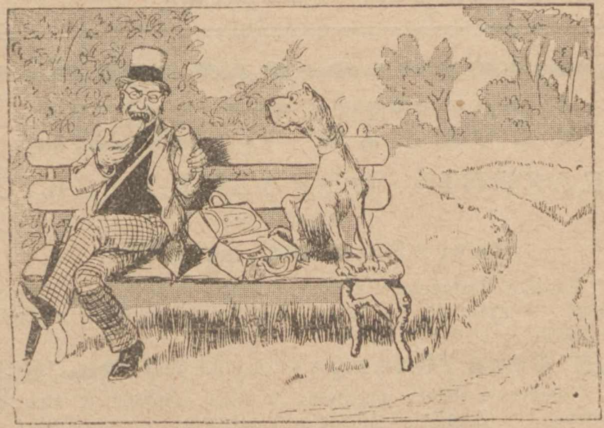
* **Chiński sposób wysiadywania ryb.** Wiadomo, iż w ostatniem dziesięcioleciu w wielu okolicach Europy, a zwłaszcza we Francyi, zwrócono baczną uwagę na sztuczne rozmnażanie ryb. W blizkości Paryża założony został w tym celu zakład z sadzawkami i basenami. Chińczycy jednak, którzy wyprzedzili nas w niejednem już odkryciu, prześcignęli Europę i pod względem sztucznego rozmnażania ryb i to w sposób wcale oryginalny. W tym celu zbierają oni po zatokach rzek ikrę rybią i mlecz i napełniają niemi puste skorupy jajek, dolewając przytem część wody. Zalepiają następnie otwór jajka woskiem lub żywicą i kładą jajko pod kurę. Po tygodniu lub po dziesięciu dniach, zarodki zaczynają się ożywiać. Wtedy rozbijają skorupę, a drobne rybki przenoszą naprzód w drewnianych skrzynkach opatrzonych siatką do strumyka, a gdy podrosną do dużej sadzawki. Sposób iście chiński!

* **Godzina obiadowa.** Godziną ta z biegiem czasu wiekrotnie się zmianiła. W XIV wieku król francuzki główną swoję biesiadę spożywał o godz. osmej rano. W Anglii za Henryka VIII jedzono obiad o dziesiątej przed południem, a we Francyi za Ludwika XIV o jedenastej. U nas południe lub pierwsza jest zwykle godziną obiadową. Mieszkańcy Indyi Wschodnich dopiero w godzinę po zachodzie słońca czują kruczenie w żołądku i jadają obiad o godzinie ósmej wieczorem.

Chciwy dwa razy traci.



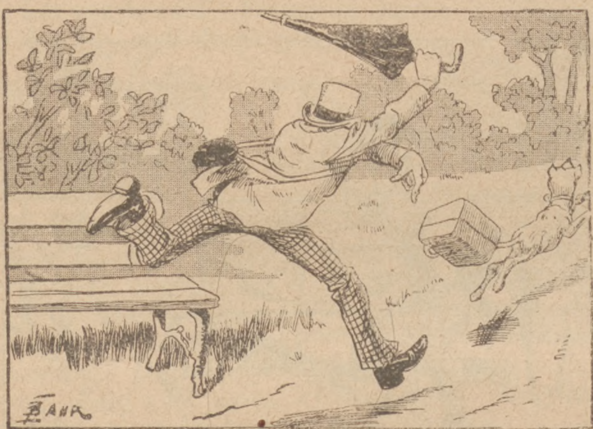
Podróżny z lubością kufer swój otwiera
A azor ze smutkiem na niego spoziera;
W kufrze nielada przysmak, dobrze to miarkuje,
Gdy on w swym żołądku czczość wielką czuje.



Kęs chleba z kiełbasą podróżny dobywa.
Azora na ten widok apetyt porywa
Wskazuje na ławkę. Poznać po tem daje,
Ażeby kiełbasę podzielić na dwoje.



Daremnie azorek czeka zmiłowania.
Podróżny kiełbaskę sam tylko pochłania,
Nakoniec to mu ów skąpiec uczynił,
Że mu niechcąco ogon przyskrzynił.



Lecz teraz za skępstwo nastąpiła kara.
Bólu azorka przebrała się miara.
Pędzi co siła z kufrem u ogona
Krzyk podróżnego nic już nie dokona.

Z tego naukę wyciągnąć można taką,
Że skąpiec za chciwość traci dwojako.

ŻARTY.

Niepocieszony.

Pleban: Jędrzeju, cóż się to, z wami stało, od chwili śmierci waszej niebożczki żony, codziennie się upijacie?

Gospodarz: Tak, Jegomościuniu w wódce znajduję jedyną pociechę w w swym smutku.

Pleban: Słuchajcie jednak, jak długo to potrwa?

Gospodarz: Jegomościuniu, kiedym ja niepocieszony.

Z listu żołnierza.

Kasiu, ty mnie nie kochasz więcej, bo inaczej nie wsadzałabyś listu do koperty, ale owijałabyś go, jak dawniej, w kiełbásę.

Jasne jak słońce.

Gospodarz A.: Sąsiedzie, wiecie wy o tem, że moje kury odwiedzają często wasze podwórze?

Gospodarz B.: Tak wiem o tem.

Gospodarz A.: A zkąd wy to wiecie?

Gospodarz B.: Bo mi już cztery z nich brakują.

To mu dał.

Chlebodawca: Na Boga, panie Dmuchalski, cóż to Pan za okropne cygaro palisz?

Pomocnik: Jakto? panie Skąpski, toć to jest jedno z cygar, które otrzymałem od Pana w podarunku na Boże Narodzenie?

I to mól.

Stasiu: Jakże powodzi ci się w stanie małżeńskim, kochany Janie? Czujesz się szczęśliwym?

Jasiu: Niezupełnie! żona zanadto jest o mnie troskliwą.

Stasiu: Nie grzesz człecze! Toć to największa zaleta u kobiety?

Jasiu: Ba zaleta! Ładna mi zaleta, skoro swoją troskliwość posuwa tak daleko, że mnie nawet w knajpie odwiedza.

Myśliciel.

— Czemu tak zamyśliłeś się, Onuferku?

A oto widzisz, ja myślę, że o niczem nie myśleć, jest to także pewien rodzaj myślenia.

Podobieństwo.

Wojtek: To ci dopiero zatracony bachor, jeszcze od ziemi nie odrósł, a już się garnie do gozołki.

Wojtkowa: A widzisz Wojtek, tero nie będziesz ciągiem godoł, że twój chłopok nijok do ciebie nie podobny.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.